



Mirosław Derecki

DROGI DO NIEPODLEGŁOŚCI

ROZMOWA Z JERZYM KUNCEWICZEM

MIROSŁAW DERECKI: Kiedy jesienią ubiegłego roku rozmawialiśmy o ostatnich dniach II Rzeczypospolitej, o końcowej fazie okresu „Przed burzą” i nastrojach, jakie przeżywaliście Państwo wtedy tutaj, w swoim kazimierskim domu, Maria Kuncewiczowa powiedziała m.in. o „zachłystnięciu się niepodległością” tak charakterystycznym dla pokolenia, które dzieciństwo i lata szkolne spędził jeszcze pod zaborami. I dla którego listopadowe wydarzenia 1918 r. zdawały się być ostatecznym ukoronowaniem tej walki, jaką Polacy prowadzili od przeszło stu lat. Młoda polska rzeczywistość okazała się jednak znacznie bardziej skomplikowana niż to się mogło wydawać rówieśnikom Cezarego Baryki; przypomniał o tym choćby ostatni film Jerzego Kawalerowicza - „Śmierć prezydenta”. Z drugiej strony, serial telewizyjny Jerzego Antczaka „Noce i dnie” według powieści Marii Dąbrowskiej (a szczególnie jego ostatnie odcinki) dał jakże żywy i przekonujący obraz tej młodzieży z początku stulecia, która odrzucając pozytywistyczne ideały ojców, wolna już od psychozy klęski popowstaniowej, parła pełna szlachetnego zapału do walki o wyzwolenia kraju i sprawiedliwość społeczną.

Jest pan jednym z typowych przedstawicieli tamtego młodego pokolenia: walka o polską szkołę, wcześniej rozpoczęta działalność w ruchu ludowym na Lubelszczyźnie, aresztowania, ucieczka do Belgii, tamtejsze studia i uczestnictwo w polskich organizacjach niepodległościowych, wreszcie - powrót do Lublina w 1916 r., gdzie stał się pan jednym ze współzałożycieli stronnictwa ludowego. Nie mówiąc już o dalszych latach działalności, których doświadczenia znalazły odbicie m.in. tu w dwóch wydanych w latach trzydziestych książkach: „Przebudowie” oraz „Republice Globu”.

Co zdaniem pana stanowiło o „sile przebicia” - jak byśmy dzisiaj powiedzieli - młodzieży urodzonej w ostatniej dekadzie minionego wieku?

JERZY KUNCEWICZ: Przede wszystkim - atmosfera gorącego patriotyzmu, w jakiej wzrastaliśmy w naszych domach. A z tego wynikało szukanie wiary w siły, które marzenia o niepodległości zdolne będą zrealizować. Dość wcześnie zrozumieliśmy, że nieodwołalnie nadchodzi nowa epoka i chociaż wielu z nas wyrastało z tradycji ziemiańskiej, czy też mieszczańskiej, zdawaliśmy sobie sprawę, że marzenia o niepodległości nie urzeczywistnią się bez oparcia o szerokie masy społeczne już w latach szkolnych wierzyłem, że w chłopie kryje się szczególna siła, która pozwoli wywalczyć niepodległość. No i zdawałem sobie sprawę z niesprawiedliwości społecznej. To mnie miało w przyszłości skierować na drogę ruchu ludowego.

Nie bez znaczenia były tradycje rodzinne, dziedziczne cechy, względy osobowościowe, charakterologiczne. Np. w moim przypadku już samo pochodzenie litewsko-ruskie ojca, a matki - koroniarskie, rzutowało na chęć narodowego i patriotycznego samookreślenia się. Może, dlatego już we wczesnym dzieciństwie tak wielkie wrażenie wywarł na mnie oglądany w klasztorze Bernardynów w Solcu nad Wisłą dawny herb Rzeczypospolitej - z Orłem, Pogonią i Aniołem. Ojciec mojej matki, Cecylii z Wyszyńskich, ostatni patron Trybunału Lubelskiego, był z zawodu adwokatem; również jego ojciec, czyli mój pradziad, był adwokatem w Lublinie i pewnie dlatego też i ja w końcu poświęciłem się adwokaturze. Ale byli też Wyszyńscy wojownikami: jeden z nich, podsędek podlaski (także - sui generis, prawnik!) chodził z Sobieskim pod Wiedeń...

M.D.: A Kuncewicze?

JERZY KUNCEWICZ: O, po nich wziąłem niespokojność ducha! Dziadek mieszkał już wprawdzie w Zamościu, a ojciec gospodarował na Jakubówce na Rurach Wizytkowskich pod Lublinem, gdzie ja się urodziłem, ale Kuncewicze wywodzili się z Białej Rusi. Tych nosiło po świecie! Na przykład jeden z Kuncewiczów, zesłany za udział w Powstaniu Styczniowym na Sybir, przedostał się, ale na Alaskę, a następnie walczył w randze pułkownika w armii Stanów Zjednoczonych podczas wojny z Meksykiem. Jak byłem po raz pierwszy w Ameryce w 1935 r., zdobyłem nawet adres jego żony, ale jakoś się w końcu nie spotkaliśmy. Nawiasem mówiąc, mieszkała w stanie Virginia, tam gdzie teraz gospodarzy mój syn, Witold,

A weźmy takiego Józefata Kuncewicza, (choć to żaden krewniak, tylko zbieżność nazwisk), arcybiskupa witebsko-smoleńskiego, pierwszego unitę, ukamienowanego za wiarę, kanonizowanego pod koniec XIX stulecia!... Już same opowieści o tych niezwykłych, „rodzinnych” i „nierodzinnych” Kuncewiczach musiały mieć wpływ na kształtowanie się mojego trochę romantycznego spojrzenia na świat. Ale znowu: rolnicze zajęcie ojca, który zresztą później, po stracie Jakubówki, pracował w Strzyżowie, jako inspektor plantacji buraczanych, no i prawnicze tradycje „po kądzieli” - pozwoliły mi patrzeć na świat realistycznie.

M.D.: Wcześniej zaangażował się pan w działalność patriotyczną?

JERZY KUNCEWICZ: Bardzo wcześnie. W 1903 r. Miałem wtedy dziesięć lat, mieszkałem w Hrubieszowie u ciotki Aleksandrowiczowej, żony pisarza hipotecznego, i zostałem właśnie przyjęty do pierwszej klasy tamtejszego progimnazjum... Przykleiłem na miejskim słupie ogłoszeniowym rodzaj odezwy do rodaków, wypisanej zresztą okropnymi kulfonami; coś tam przeciwko wojnie japońskiej i Rosjanom. Złapał mnie na tym strażnik i zaprowadził do sędziego Hofmana. Czułem się bohaterem. A Hofman wyrzucił mnie po prostu z gabinetu: „Idź do ciotki i opowiedz jej, co zrobiłeś”. Tak się zakończył mój pierwszy polityczny występ.

Ale prawdę mówiąc, właściwe początki edukacji politycznej to udział w strajku szkolnym w Lublinie, w 1905 r. Byłem już wówczas uczniem „handlówki” założonej przez Vetterów przy ówczesnej ulicy Bernardyńskiej. To było ogromne przeżycie. Poczuliśmy, że jesteśmy siłą, którą nie tak łatwo opanować, z którą trzeba się liczyć. Wśród przywódców strajku szkolnego znajdował się mój kuzyn, Kazimierz Wyszyński, poza tym - Edmund Kłopotowski, Czesław (?) Siwek i Henryk Orłowski. Na zebrania organizacyjne przyjeżdżali delegaci warszawskiej młodzieży szkolnej - Kozielski i Graf. Przeciwko strajkowi opowiedziała się Narodowa Demokracja i za to Roman Dmowski został obity w Warszawie przez uczniów. W Lublinie też nie przebiegano w środkach: wybijaliśmy szyby w gimnazjum rosyjskim przy ul. Namiestnikowskiej (obecnie – Narutowicza), dostał po mordzie polski nauczyciel Belczyk, który nie przerwał wykładów w rosyjskiej szkole, poszły w kawałki szyby w witrynach magazynu obuwniczego Kwiecińskiego przy ul. Królewskiej, którego syn uczęszczał nadal do Pierwej Lublińskiej Gimnazji... W końcu wywalczyliśmy polską szkołę, powstał m. in. „Staszic”, do którego zacząłem uczęszczać i ja.

Powstawały i rozrastały się bardzo prężnie młodzieżowe organizacje patriotyczne. Należałem do „Petu” i wkrótce zostałem starszym koła „petowego”. W latach 1906-1911 do najbardziej aktywnych członków organizacji należeli - Antoni Chamiec, Maria Krzyczkowska (pochodząca z Hrubieszowa), Lucjan Węgliński, Stefan Mydlarz, Mikołaj Pajdowski (zapałony turysta i jeszcze po II wojnie aktywny działacz lubelskiego PTTK), Kazimierz Brzeziński oraz dwie siostry Brenajzen. Potem, już w latach wojny światowej, dołączyli do nich Ewa Szelburg (późniejsza znana pisarka Szelburg-Zarembina) z Nałęczowa, Zybs. Jankowska.

M.D.: No dobrze, ale jak pan przy tej ożywionej działalności organizacyjnej godził politykę z nauką?

JERZY KUNCEWICZ: Proszę pana, prawdę mówiąc to ja w szkole wcale nie lubiłem się uczyć. Ja się interesowałem w szkole nauką o tyle, o ile wiązała się z polityką. Wydawaliśmy w szkole własne piśmienniki odbijane na szapirografie, pomiędzy kołami

„petowym”, między młodzieżą szkolną krążyły ulotki i pisemka niepodległościowe, które kolportowaliśmy. A odbiorców było niemało. Samych tylko polskich szkół było w Lublinie pięć: Szkoła Lubelska, „Staszic”, Szkoła Handlowa i dwie pensje – Latosińskiej-Kunickiej oraz Arciszowej. Praca zaczęła się robić naprawdę niebezpieczna, niektórzy z nas trafili do więzienia na Zamku. Mnie raz tylko ogromne szczęście pozwoliło na pozbycie się ukradkiem przenoszonej „bibuły” i uniknięcie aresztowania.

W 1910 r pojechałem razem z kolegą Lilienfeldem na Zjazd Grunwaldzki do Krakowa, jako delegat lubelskiej młodzieży szkolnej. I w tym naszym wyborze ujawniły się postępowe poglądy i przekonani tutejszego środowiska: odnieśliśmy zwycięstwo nad kontrkandydatem Ligockim, który reprezentował zachowawczo myślącą młodzież ziemiańską.

Oczywiście, ja tutaj mówię ciągle o tej młodzieży, z którą miałem najbliższy kontakt. Istniały przecież wtedy w Lublinie grupy młodzieży socjalistycznej, bardziej i mniej lewicowej, istniały inne organizacje... Ale nie zawsze o sobie wiedzieliśmy. Poznałem na przykład kilkunastoletniego chłopca, który często zachodził na teren posesji znajdującej się przy Krakowskim Przedmieściu, zaraz przed wejściem do Ogrodu Saskiego. Nie było tam obecnej kamienicy tylko wielki ogród, a w jego środku parterowy dom, który wynajmowaliśmy. Chodziliśmy często z tym chłopcem na maliny. Był chyba ze dwa lata starszy ode mnie i nazywał się - Bolesław Bierut.

M.D.: Bolesław Bierut zetknął się już wówczas z ideałami socjalistycznymi, a wkrótce miał spotkać w Lublinie Jana Hempla, który wywarł wielki wpływ na rozwój jego osobowości... A po latach został pierwszym prezydentem Polski Ludowej.

JERZY KUNCEWICZ: Nie przypominam sobie żebyśmy wtedy prowadzili jakieś rozmowy poważniejszej natury. Zresztą, było lato, wakacje i wkrótce wyjechałem jak zwykle na Podlasia, gdzie razem z Mikołajem Padewskim i inżynierem Wójcickim krążyliśmy po wsiach prowadząc agitację patriotyczno-niepodległościową i zakładając koła ludowe, których członkowie za jeden z głównych celów stawiali sobie wyzwolenie Ojczyzny. Bazę wypadową znaleźliśmy w Urzędowie, gdzie rodzice Padewskiego mieli dom i gospodarstwo. Te nasze koła miały się stać w późniejszych latach ogniskami rozwoju Stronnictwa Ludowego...

M.D.: Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie”?

JERZY KUNCEWICZ: Myśmy wówczas mówili po prostu o Stronnictwie Ludowym. PSL „wyzwolenie” to nazwa późniejsza, myślę, że chodziło o określenie się wobec wirtuozowskiego „Piasta”... O którym zresztą w początkowym okresie naszej działalności wiedzieliśmy nie tak znowu wiele. Oni działali w zaborze austriackim, w zupełnie innych warunkach, my - w „rosyjskiej” Kongresówce.

Ale wracając jeszcze do czasów szkolnych, to muszę wspomnieć o swoim pierwszym popisie oratorskim - a umiejętność przemawiania jest niezbędna w robocie politycznej - który

ocenił i... docenił nie byle, kto, bo późniejszy generał Związku Radzieckiego, Nikołaj Krylenko Przed pierwszą wojną, praporszczyk zapasa Krylenko wykładał w lubelskich szkołach średnich historię powszechną i historię Rosji. Lubiliśmy go, bo był człowiekiem kulturalnym, o szerokich horyzontach, sprzyjał Polakom i odznaczał się dowcipem. Kiedyś wyrwał mnie do odpowiedzi na temat Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Mówiłem długo, odważnie i z wielką swadą, a kiedy wreszcie skończyłem, Krylenko oświadczył: „Znanije - jedlinica, chrobrost- piat”. To znaczy: za wiadomości - pała, za „męstwo”, z jakim podjąłem się odpowiedzi – piątka. Spotkałem po latach w Moskwie, w 1932 r., gdzie był generalnym prokuratorem.

W 1910-1911 r. zacząłem drukować w miejscowej prasie pierwsze młodzieńcze utwory literackie i artykuły, podpisując je kryptonimem: „K-wicz”. To był załączek mojej przyszłej pracy pisarskiej. Tyle, że wkrótce musiałem rzucić wszystko i uciekać z kraju, bo zostałem zadenuncjowany przed władzami carskimi...

M.D.: Przez funkcjonariusza tajnej policji?

JERZY KUNCEWICZ: Gorzej. Przez pewnego młodego lubelskiego poetę. Przedostałem się nielegalnie przez granicę i oparłem się aż w Belgii, na uniwersytecie w Liege, gdzie zapisałem się, na wydział fizyko-chemiczny. Takie ucieczki były zazwyczaj zorganizowane; w Lublinie pomocą dla prześladowanej młodzieży zajmowała się pani Zembrzaska.

Matka przysyłała mi miesięcznie 25 rubli; to było 66 franków belgijskich i wystarczało na skromne życie. Całkiem niezły obiad, w studenckiej garkuchni kosztował 90 centymów. Zresztą w czasie letnich wakacji pracowałem dorywczo w kopalni i to mi pomagało później podratowywać budżet.

W Liege była wówczas - w latach 1911-1914 - spora studencka kolonia polska, kilkuset Polaków z różnych zaborów. Większość związana z robotą konspiracyjną i „spalona” w kraju. Wykształcili się tam m. in. późniejsi generałowie: Młot-Fijałkowski, Łuczyński, Rudolf Dreszer i jego brat Gustaw Orlicz-Dreszer. Działały organizacje niepodległościowe: „Zjednoczenie”, „Promień” (o tendencjach socjalistycznych), no i „Strzelec” grupujący około 300 mężczyzn i kobiet, do którego zaraz wstąpiłem. Odbywaliśmy częste manewry pod Liege, lub forsowne marsze do Vervier, a ćwiczył nas oficer belgijski. Przyjeżdżało mnóstwo ludzi ze świata i z kraju: tam m.in. zobaczyłem Józefa Piłsudskiego, który miał odczyt o niepodległości i przyszłym państwie polskim.

Mówiłem już o swoich zdolnościach oratorskich... W Liege, po jednym ze studenckich zebrań, podczas którego długo i z zapałem wykładałem swoje racje, podszedł do mnie dość niepozorny, młodo wyglądający człowiek i zaprosił na wspólną, skromną kolację. Był w Liege przejazdem z Paryża i zainteresował go mój sposób przemawiania. Przedstawił się:

„Bronszejn jestem”. „Kuncewicz jestem” - odparłem i poszedłem z nim na tę kolację, nie wiedząc, że mam do czynienia z... Trockim.

Kiedy wybuchła wojna i powstały Legiony, ogłosiliśmy w Liege wśród Polaków mobilizację i ja się zgłosiłem w imieniu kolegów do Niemców, którzy już wtedy okupowali Belgię. Ale Niemcy potraktowali mnie, jako dywersanta. I zamiast do Legionów pojechałem do więzienia w Akwizgranie, a następnie do obozu jenieckiego. Siedziałam tam do wiosny 1916 r. i wyszedłem tylko na skutek interwencji szefa austriackiej policji wojskowej w Lublinie, Krzyżanowskiego, (bo już Lublin znajdował się pod okupacją austriacką), którego żona była z domu Kuncewiczówna, do której jakoś dotarła moja matka. Więc widzi pan, że nie przesadzałem, kiedy mówiłem, że Kuncewicze są rozsiani szeroko po świecie...

M.D.: I to był pierwszy pański powrót ze świata na Lubelszczyznę...

JERZY KUNCEWICZ: Tak - dokładnie 13 kwietnia 1916 r. Byłem wynędzniały, zagłodzony i bez pracy. Zresztą pracę znalazłem niemal błyskawicznie. Ksiądz Gostyński, dyrektor Ówczesnej Szkoły Realnej przy ul. Ogrodowej - dzisiejsze Liceum im. Jana Zamoyskiego. - dowiedziawszy się, że przyjechał do Lublina taki jeden, co studiował w Belgii fizykę i chemię, zaangażował mnie zaraz u siebie. Tak zacząłem jedną ze swoich karier: nauczycielską.

MD.: To bardzo trudna kariera...

JERZY KUNCEWICZ: Nie wiem, czy kariera, bo jej długo nie robiłem, ale zawód nauczyciela jest trudny. Szczególnie był trudny w czasach powojennych, kiedy się miało do czynienia z uczniami, którzy w czasie wakacji otrząskali się z życia na froncie... W klasie było kilkudziesięciu dryblasów niewiele młodszych ode mnie, niektórzy nosili jeszcze oficerskie mundury, a na nich odznaczenia... I wychowuj tu takich! Jak wystawili dla kawału na drugim piętrze za okno księdza Gostyńskiego, nie można im było żadną marą wytłumaczyć, że w ten sposób podrywa się autorytet dyrektora... Szczególnie jednego z nich zapamiętałem: Waław Gralewski. W późniejszych latach znany w Lublinie dziennikarz, w ostatnich latach życia związany też przecież z waszą „Kameną”. Co ja z nim miałem! Ale lubiliśmy się. Kiedy na początku lat sześćdziesiątych przyjechałem do Polski, przywiózł mi do Kazimierza naszą wspólną fotografię z tamtych czasów...

Po powrocie do Lublina w 1916 r., czując się żołnierzem Legionów, poszedłem zaraz zameldować się do władz wojskowych. Lublin był wtedy bardzo silnym ośrodkiem myśli niepodległościowej, po ulicach kręcili się żołnierze z orłami na czapkach, pracowały pełną parą urzędy organów niepodległościowych. Większość z nich mieściła się przy obecnej ulicy Narutowicza, w budynkach klasztoru powiżytkowskiego, tam, gdzie dzisiaj jest Muzeum Czechowicza. Oświadczone mi, że pobór do Legionów został wstrzymany i skierowano do Wydziału Narodowego, mającego siedzibę przy Krakowskim Przedmieściu, gdzieś w

okolicach ulicy Krótkiej. Urzędowali tam dwaj panowie w średnim wieku - Szczepański oraz Saturnin Osiński, z zawodu kupiec, zarządzający sklepem towarów łokciowych Rydygiera przy Krakowskim Przedmieściu. Obydwaj byli obywatelami lubelskimi, prowadzącymi niezwykle aktywną robotę niepodległościową. Już wkrótce otrzymałem od nich pierwsze zadanie: miałem przemawiać na wiecu protestacyjnym przeciwko odezwie cesarza Austrii i Niemiec do Polaków. Wiec odbywał się na placu przed katedrą, przemawiano z balkonu kamienicy przy ul. Królewskiej, tej, w której dzisiaj mieści się antykwariat. A pod balkonem ustawiała się austriacka orkiestra wojskowa mająca za zadanie zagłuszać mówców. Byłem młody, głos miałem silny, więc w ostatecznym rozrachunku to ja zagłuszyłem orkiestrę. Choć pod koniec przemówienia krew mi się rzuciła do gardła...

M.D.: A co z działalnością organizacyjno-polityczną, której tyle czasu poświęcił Pan w przedwojennym okresie lubelskim?

JERZY KUNCEWICZ: Właśnie do tego zmierzałem... W 1916 r. podjąłem ożywioną działalność w organizacji „zetowej”, ale potem oddałem się całkowicie sprawie ruchu ludowego i tworzenia podstaw ludowego stronnictwa na tym terenie. W tych dniach, kiedy byłem częstym gościem w siedzibie Wydziału Narodowego, spotkałem tam Aleksandra Bogusławskiego, dziennikarza pism warszawskich i działacza ludowego, którego znałem już przedtem z jego artykułów. Poznaliśmy się i szybko zaprzyjaźniliśmy. Tym bardziej, że Bogusławski wiedział o mojej przedwojennej działalności w środowisku wiejskim na Lubelszczyźnie. Wkrótce już uczestniczyłem w zebraniu organizacyjnym stronnictwa, które miało reprezentować interesy ludności wiejskiej, szczególnie podkreślając w swoim programie problem odzyskania niepodległości. Zbieraliśmy się zazwyczaj w klasztorze przy ul. Świętoduskiej, w mieszkanku księdza Kościelniakowskiego: Aleksander Bogusławski, Kazimierz Bagiński, Juliusz Poniatowski, Ks. Kościelniakowski i ja. Tak to z końcem wiosny 1916 r. powstała pierwsza komórka ludowcowa na tym terenie.

W Lublinie wychodziło pismo „Polska Ludowa”, którego redaktorem naczelnym był Bogusławski, w redakcji działali m. in. Maria Dąbrowska, Jadwiga Marcinkowska i Zygmunt Różycki. Również ja pisywałem stałe artykuły do „Polski Ludowej”, a nawet przez pewien czas, po wyjeździe Bogusławskiego do Warszawy, stanąłem na czele tego pisma. Nawiasem mówiąc, nie przypominam sobie żebyśmy kiedykolwiek otrzymali honorarium. Nie pamiętam też, by nawet w późniejszym okresie Rataj czy Wojciechowski dostawali jakkolwiek „wierszówkę”. Pisało się nie dla pieniędzy, ale ze względu na dobro sprawy i z patriotycznego, obywatelskiego obowiązku.

M.D.: W wydawnictwie – „Ruch Ludowy na Lubelszczyźnie” (Lublin 1964) Józef Marszałek pisze o dynamicznym rozwoju Stronnictwa w latach 1916-1918...

JERZY KUNCEWICZ: Nie znam tego wydawnictwa, ale mogę potwierdzić, że ruch ludowy na terenie Lubelszczyzny rozwijał się z wielką siłą. To jeden z dowodów jak wielki ładunek patriotyzmu był nagromadzony na wsi polskiej.

Pierwszy zjazd Stronnictwa odbył się w połowie czerwca 1916 r., obradowano w budynku szkoły przy ul. Okopowej, kierowanej przez p. Barchana.

W połowie 1918 r., gdy opuszczałem Lublin przenosząc się do Warszawy, gdzie zaproponowano mi stanowisko naczelnika Wydziału Opieki nad Dziećmi i Młodzieżą w późniejszym Ministerstwie Opieki Społecznej, Stronnictwo było już silną i liczną organizacją. A przecież mogliśmy naszym członkom zapewnić, co najwyżej... prześladowanie ze strony Austriaków! Kiedy 7 listopada 1918 r. powstał w Lublinie Tymczasowy Rząd Ludowy, w jego skład weszli ludowcy z PSL „Wyzwolenie”...

M.D.: W ankiecie nadesłanej ostatnio do lubelskiej Biblioteki im. H. Łopacińskiego w związku z opracowywanym tam słownikiem pisarzy związanych z Lubelszczyzną wymienia pan zawody: nauczyciel, adwokat, urzędnik, pisarz. Nie będę prosił o odpowiedź, który z nich uważa pan dla siebie za najważniejszy. Zwrócę jedynie uwagę, że będąc w zasadzie pisarzem-publicystą, w wieku sześćdziesięciu pięciu lat zaczął pan pisać sztuki dramatyczne, a w 1974 r., w kilkanaście lat później, wydał pan z kolei tom myśli filozoficznych: „Nieskończoność a rzeczywistość”. Książka poświęconą odwiecznemu problemowi: co jest treścią i celem istnienia? Spytam, więc tylko - wracając niejako do pierwszego w tej rozmowie pytania - co uważa pan w swoim życiu za najważniejsze, co było głównym motorem pańskiego życia?

JERZY KUNCEWICZ: Była nim stała próba zaspokojenia niepokoju. Dopóki istnieję - jestem niespokojny. Dopóki ciało pozwala mi szukać odpowiedzi - żyję.

Pierwodruk: „Kamena”, 1978, nr 13, s. 1,8-9.